

— Do skompletowania łańcucha dowodów, któremu brakowałoby właśnie tylko tego jednego ognia. Do wykazania w niezbity sposób, że w dniu 28. listopada, około godz. 11 dwunastej w południe Morgan stąd się oddał, i że, przechodząc przez las, dotarł do dworca kolejowego w Monteith, gdzie wsiadł na pociąg, odchodzący do Buffalo.

Hickory spojrzał z zainteresowaniem na mówiącego i gwizdnął przeziagle.

— Mogę panu dostarczyć ognia, którego panu brakuje — rzekł, powstając z ławki.

— Co pan mówi?

— Prawdę, o ile się nie mylę, ale tego nie przypuszczam.

— Czy być może?

— Niech pan starannie obejrzy ten stos gałęzi, leżący tam w rogu szopy.

Byrd uczynił zadość jego żądaniu. I wtedy spostrzegł, że nie był to chróst, przygotowany do wzniesienia ognia, ale świeże gałęzie, niedawno ścięte.

— Ho, ho! — mruknął. — To coś ciekawego!

— Nieprawdaż? — podchwycił Hickory, zadowolony ze swojej obserwacji.

— Tak to wygląda — ciągnął dalej Byrd — jak gdyby ktoś przygotował tu sobie posłanie. Tak, tak, najoczywistej rysuje się tu odcisk ciała. Oh! patrz pan — dodał, podając detektywowi gałązkę, do której uczepionych było kilka ciemnych włosów. — Ten, który tu spał, nie zadał sobie nawet trudu okryć chustką swoją poduszkę.

— Widzę, że pan posiada nadzwyczaj bystre oczy — zauważył z uśmiechem Hickory. — A teraz pozostaw pan te gałęzie i przybliż się do stołu — dodał pociągając Byrda za rękę.

— Po co?

— Czy nie pan nie widzi?

— Nie.

— Niech się pan lepiej przypatrzy.

Byrd pochylił się nad stołem i ujrzał na deskach kilka odłamków drzewa.

— Ktoś tu zaciął ołówek — rzekł, podnosząc głowę i pytając patrząc na towarzysza.

— Zanotuj pan sobie dobrze, że ołówek ten był niebieski — dodał Hickory.

Byrd przytaknął głową.

I że węglarze nie mają zwyczaju posługiwać się ołówkami tego koloru.

— Podczas kiedy do swoich rysunków...

— Otóż to. Zgadzi pan.

— Czy pan ma jeszcze coś więcej do pokazania? — zapytał Byrd, silnie zaintrygowany.

— Jeszcze jedną rzecz: oto, co znalazłem uczepione na krzaku — rzekł Hickory, wyciągając z portfela kawałek dziennika starannie złożonego. — Niestety niema tu ani daty, ani nazwy dziennika. Z formatu jednak, zdaje mi się, że rozpoznaję wydawnictwo „Kuryera z Buffalo”. Jeżeli tak jest rzeczywiście i daty zgodnie się będą, to sądzę, że ogniwo pana jest dosyć silne. Jak się panu zdaje?

— Nie mylisz się pan — odparł Byrd poważnie. — A teraz niech mi pan powie, co pan odkrył w Buffalo?

— Wiele rzeczy — rzekł Hickory z zrozumiałością w głosie.

— No, no! Ciekawy jestem.

— Przede wszystkim: Morgan opuścił Buffalo w przeddzień zbrodni, mówiąc, że jedzie odwiedzić kogoś w Nowym Jorku w sprawie swojego wynalazku. Następnie: nie był wcale w Nowym Jorku, a, powróciwszy nazajutrz do pensjonatu, gdzie mieszkał, był przybity i bez humoru.

Od roku mniej więcej marzył o puszczeniu w obieg swojego motoru, w który wierzy, jak we własne życie. Brakowało mu tylko do urzeczywistnienia tych pragnień, tak, jak sam o tem często wspominał, niewielkiego kapitału. Cztery albo pięć tysięcy dolarów. Mały one dopomógł mu do zbudowania aparatu i przekonania inżynierów i kapitalistów, sceptycznie zapatrujących się na ten wynalazek, że sprawa jest poważną i realną. Czy pan co mówi, panie Byrd.

— Nie... nie... Myślę tylko, że spadek po pani Clemmens wywołał właśnie podobną sumę.

— Bardzo słuszna uwaga! Dalej: Wróciwszy we środę rano do biura, zaraz zasiadł do pracy, jak gdyby nic nie zaszło i pracował aż do chwili, w której jeden z kolegów, czytając dziennik, wykrzyknął niespodziewanie: „Słuchaj-no Morgan! Podobno ktoś ci się przysłużył i usunął twoją ciotkę!” Ten żart niesmaczny napelniał oburzeniem otaczających. Co zaś do pana Morgan, to piron, uderzający u jego stóp, nie byłby wywołał silniejszego wrażenia. Błąd śmiertelnie, niezdolny przemówić ani słowa, oślepiałym wzrokiem patrzył na kolegę. Zaledwie w kilka minut przyszedł do siebie i natychmiast opuścił fabrykę, motywując to odejście nagłą niedyspozycją. Nikt nie wiedział, gdzie spędził dzień następny, ale

wieczorem znalazł go w pensjonacie, leżącego w silnej gorączce. Nazajutrz otrzymał kilka listów ze Sydney. Wzywają go do tego miasta, aby był świadkiem śledztwa i aby towarzyszył pogrzebowi pani Clemmens. Ale oznajmił, że nie jest w stanie opuścić pokoju i dopiero w poniedziałek pojawił się w biurze. A teraz jeszcze...

— Dlaczego pan przerwał, panie Hickory?

— Bo obawiam się pana krytyki.

— Mojej krytyki?

— Tak. Pan zanadto przebiera w wyborze środków, aby stać się dobrym detektywem.

— To jest już moja rzecz — odpalił wyniosło Byrd. — Ale niechże pan dalej mówi.

— Przeszukując w poniedziałek szuflady biurka pana Morgan, znalazłem paczkę, związaną czarną wstążką. Zawierała ona z pół tuzina listów. Nie będąc tak dumny, jak pan, przeczytałem tę korespondencję. Pochodziła naturalnie od miss Beatryczy Darnell.

— No i co? — zapytał gorączkowo Byrd.

— Przekonała mnie, że, jeżeli Morgan tak gorąco zajmował się sukcesem swojego wynalazku, to nie tylko przez wrodzoną ambicję, ale także i z miłości. — Tak, tak, oczywiście — mruknął Byrd.

— Ale ja jeszcze właściwie nie wspomniałem panu o ostrzeżeniu, danem mi — podjął Hickory, bystro patrząc na kolegę.

— To prawda.

— Otóż w sobotę, powracając z pogrzebu pani Clemmens, zostałem zatrzymany po drodze przez straszną jakąś starą wiedźmę.

— Sally Perkins! — zawołał Byrd.

— Właśnie! Pan ją zna, jak widzę.

— Maiejsza z tem, niech pan mówi dalej.

— Otóż w poniedziałek po południu, w przeddzień zbrodni, niech pan uważa, zbierała ona suche gałęzie w lesie. Przybliżając się do polanki, gdzie się teraz znajdujemy, dosłyszała szmer głosów. Musimy przyznać, że jest również niedyskretna, jak ja, bo zbliżyła się ostrożnie, aby podsłuchać. Na ścieżce stał młody człowiek, którego wówczas nie znała jeszcze, a obok niego miss Darnell.

— W którym miejscu stali? — przerwał Byrd.

— Na ścieżce, prowadzącej do bagnisk. Młody człowiek żalił się z goryczą na egoizm i upór osoby, którą nazywał ciotką, a młoda dziewczyna, zamiast starać się go uspokoić, podniecała tylko jego oburzenie, tak, że wkońcu zawołał:

— Można oszaleć doprawdy w takiej sytuacji. Pomyśleć, że z tymi pieniędźmi, które wkońcu i tak z dobrej woli od niej dostanę, mógłbym zrobić się jej majątku i własnego, a równocześnie zapewnić szczęście nam obojgu.

Na te słowa miss Darnell podniosła głowę i wyrzekła powoli:

— Gdybym chociaż znała tę twoją ciotkę!

— Na coż by ci się przydać mogło, Beatryczo? — zapytał młody człowiek.

Odpowiedziała parę słów, nie dosłyszanych przez starą, poczem młoda para zmieniła temat rozmowy. Miss Darnell nie chciała przyjąć jakiegos przedmiotu, dawanego jej przez towarzysza.

— Proszę cię, Beatryczo — nalegał. — Jeżeli go przyjmiesz, dodasz mi odwagi do przetrwania tych przykrych chwil.

Młoda dziewczyna ustępowała. Wyciągnęła rękę, lecz cofnęła ją natychmiast, mówiąc stanowczo:

— Nie, nie chcę! Trzeba poczekać do jutra.

A kiedy towarzysz jej pytał, co znaczyć miała ta zwłoka, odpowiedziała niespokojnie:

— Nie wiem sama. To taka myśl, która przyszła, niewiadomo skąd. Zdarza się często, że rzeczy ulegają zmianie z dnia na dzień, bez oczywistego powodu.

— Ona to powiedziała?! — zawołał Byrd, zdumiony.

— Tak, a jak panu wiadomo, fakt następny wykazał słuszność tych słów. Nazajutrz znaleziono wdowę zamordowaną a jej siostrzeniec dziedziczył po niej pięć tysięcy dolarów, tak potrzebnych mu do zdobycia szczęścia i majątku.

Nagle Byrd podszedł do mówiącego i, patrząc mu prosto w oczy, wyrzekł gwałtownie:

— Panie Hickory! Pan nie chce chyba posadzać, tak, jak ta stara wiedźma, miss Darnell! To niemożliwe!

— Ja jej nie posadzam. — odparł zliwiony trochę detektyw.

— Ale pan przypuszcza, że to ora popchnęła swojego narzeczonego do tej zbrodni! Toby było zbyt okropne i ja tego nie zniosę! Słyszysz pan!

— Niech się pan uspokoi, panie Byrd. Taka myśl nie przyszła mi do głowy, zaręczam panu. Po tem, cośmy tu obydwaj usłyszeli, trzeba by mieć bardzo

mało rozumu, aby wpaść na takie przypuszczenie i mieszać miss Darnell do tej sprawy.

Byrd odetchnął z ulgą.

— A teraz chciałbym się dowiedzieć, jakiego pan użył sposobu, aby sprowadzić miss Darnell na tą schadzecę?

— Przypadek zagrał tu główną rolę. Pan Morgan napisał list, błagając w nim miss Darnell o chwilę rozmowy. Wyznaczył miejsce spotkania tu, w tej szopie węglarzy. Zapewne później zmienił zdanie, bo porzucił bilecik, nie przedzierając go na szczęście, w koszyku od papierów, gdzie go podjąłem. Dowiedziałem się w bardzo łatwy sposób, gdzie się znajduje ta szopa i zaryzykowałem, posyłając przez chłopaka bilecik ten do miss Darnell, naśladując wiernie na kopercie pismo pana Morgan. Widzi pan, że to nie było znowu tak bardzo skombinowane — dodał Hickory z udaną skromnością.

— Znajduję przeciwnie, że jest pan godnym zastępcą pana Gryee! — odparł Byrd, zachowując całą powagę.

Na ten komplement Hickory zaczerwienił się z dumy i próżności. Nazwisko pana Gryee było ogólnie znane od rozgłoszonej zbrodni w Gramerey Park, w której sławny detektyw wykazał całe swoje zdolności, zyskując podziw i uznanie szefów swoich.

Po chwili obydwaj koledzy, rozmawiając ciągle jeszcze o sprawie swojej, powrócili do Sydney, obydwaj zadowoleni z siebie.

Pierścień.

Pan Ferris siedział w swoim gabinecie przed biurkiem. Brwi miał silnie ściągnięte i wyraz twarzy zamyślny i pochmurny. Przed chwilą doniesiono mu, że Gordon Hildreth, korzystając z chwilowej nieobecności dozorców, powiesił się na oknie swojej celi. Dozorca jednak przybył na czas jeszcze i odciął więźnia, którego przeniesiono natychmiast do szpitala więziennego. Stan Gordona Hildretha według orzeczenia lekarza był bardzo groźny. Fakt ten zaskoczył niemile prokuratora. Do ostatniej chwili wierzył w winę oskarżonego, którego zachowanie się podczas badania wydało mu się bardzo podejrzanym.

Byrd nie jest mojego zdania — myślał prokurator — ale to jest dla mnie bez znaczenia. Byrd jest jeszcze bardzo młody, chętny, z powodu swojego pochodzenia, do bronięcia człowieka z inteligentnego świata, w którym nie chce widzieć zbrodniarza. Ciekawym odmiennego zdania jest detektyw Hickory. Ten jest poważny, doświadczony, bez uprzedzeń kastowych. Zdanie jego jest ważniejsze, niż tamtego.

Desperacki czyn Gordona Hildreth wzmocnił tylko przekonania pan Ferris i utwierdził go w jego opinii, a jednak nie mógł się oprzeć uczuciu litości dla tego człowieka, który wolał śmierć natychmiastową, niż przedłużające się tortury śledztwa, następstwem których byłoby długoletnie więzienie.

Rozmyślenia prokuratora zostały przerwane wejściem wóźnego, oznajmającego przybycie Byrda i Hickorygo.

— Proś ich natychmiast tutaj — rozkazał pan Ferris, zaciekawiony silnie.

— Dzień dobry panom — zawołał, kiedy detektywi stanęli w gabinecie. — Cóż to się stało, że widzę panów razem u siebie?

— Nastąpiło między nami małe porozumienie — uśmiechnął się Byrd.

— Porozumienie? Więc dalej chcecie panowie razem prowadzić sprawę morderstwa pani Clemmens?

— Tak jest, panie prokuratorze. I właśnie w tym celu przyszedłszy przedstawić panu pewne fakty, które zupełnie inne światło rzucić mogą na tę sprawę.

— To niemożliwe! — zawołał prokurator, obejmując Hickorygo pytającym spojrzeniem.

— Tak jest — potwierdził tenże. — Pan Byrd ma słuszność, panie prokuratorze.

— Cóż się takiego stało? Macie coś nowego?

— Oczywiście. Zaledwie kiedyś opuściłem pana, kiedy wpadł m na ślad nowy. Idąc za nim, spotkałem się z panem Byrd, który również gonął za moją zwierzyną. Zrobiliśmy we dwóch ciekawe odkrycia. Mogę nawet śmiało powiedzieć, że to będzie już zakończenie naszej pogoni za mordercą pani Clemmens.

— Ho, ho! — mruknął niedowierzająco prokurator. — Chodzi więc o okoliczności nadzwyczajne i wyjątkowe?

— Tak jest, panie prokuratorze — odpowiedział Byrd. — Mamy teraz w ręku dowody winy dwóch osób. Ciekawy problem, nieprawdaż, bo przecież jedna z nich tylko jest winną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)